

# Kronika tygodniowa.

Król Mikołaj Czarnogórski, kapitulując wobec zwycięskiej armii austro-węgierskiej i robiąc w ten sposób tak zwany „dobry początek“, wbił naszym politykom w mózgowicę nielada klina.

I ci, którzy politykę uprawiają, jak to mówią „na gębę“, i ci, którzy o niej piszą, zastanawiają się teraz nad tem, na kogo kolej?... Zdania są podzielone. Jedni twierdzą, że za teściem pójdzie zięć, to jest Piotr serbski, inni utrzymują, że Wiktor Emanuel, któremu żona kazała się bawić we wojnę, ale on już miał czas i sposobność przekonania się na swej własnej skórze, że to nie jest żadna zabawa! Z innej natomiast strony podnoszą się głosy, że decydujące posunięcie na szachownicy wojennej uczyni car batiuszka, który po fiasku zupełnym nowej ofensywy na Besarabskim froncie, powinien dać za wygraną i powiedzieć sobie: „Dostyc! Szkoda czasu i atlasu, szkoda ludzi i pieniędzy...“ a w dodatku, w dowód uznania kazać powiesić na pierwszej lepszej latarni tych, którzy go do wojny namówili, bez względu na to, kim oni są.

Bo sam siedział spokojnie w Carskim Siole lub gdzieindziej i kładł kabałę, albo konferował o życiu przyszłym z bogobojnym Rasputinem, a tylko z przedkładanych sobie raportów wiedział, że rozporządza tylo a tylo milionową armią, zaopatrzoną wspaniale we wszystko.

Jako posłuszny bratanek uległ też namowom stryjaska (także zięcia króla Nykity z Czarnogórze), który w swej myśli widział się już królem Polski, dopiero, gdy bomba pękła, przekonał się, że papier jest bardzo cierpliwy, a złodziei w Rosji jest zatrzęsienie. Cóż się bowiem pokazało?... Wiele pułków było tylko uformowanych na papierze, a pieniądze, na ten cel wydane, spoczęły w bezdennych kieszeniach panów ministrów, generałów, intendantów i t. d., te zaś, które istniały faktycznie, nie miały dosyć broni, amunicji, ubrania i jedzenia, a trudno chyba walczyć, gdy „Maciek“ mruczy z głodu. Strategicy rosyjscy twierdzili wprawdzie, że głodny żołnierz idzie z tem większą wściekłością do ataku, przekonali się przecie, że jest cokolwiek inaczej. Z próżną ładownicą i próżnym żołądkiem szli żołdaci bardzo chętnie, ale do niewoli, gdyż wiedzieli, że tam bodaj jeść dostaną.

Nic też dziwnego, że wobec takich stosunków generałowie rosyjscy potracili głowy, o ile jeszcze posiadali je na swych karkach i nie mogli w żaden sposób znaleźć drogi do Wiednia i Berlina, gdzie spodziewali się stanąć już przeszło rok temu. Wiedocześnie i mapy mieli bardzo niedokładne!

Anglia i Francja forsowały wprawdzie monetą, widząc w Rosji bardzo dzielną pomoc, przekonali się przecie, że może nawet zbyt wcześnie, że te pieniądze wyrzucono po prostu w błoto. Zrzęda im więc mina, nosy pospuszczali na kwintę, ale już było poniewczasie. Zmieniano dowódców i plany, wojnę przetrucano na coraz to inne tereny, wszystko na nic się nie zdało.

Ale Anglicy powiedzieli sobie, że muszą zwyciężyć, bo tego wymaga ich interes i tak rychło nie wypuszczą Rosji ze spółki, którą zawarto z nieograniczoną poręką.

Pokazało się jednak, że ów „kolos północy“, to wprawdzie lew, ale nie taki straszny, bo już obławskawiony przez tych, którzy z tego ciągnęli latami zyski.

Wobec tego i ja, jako człowiek miłujący prawdę i spieszący zawsze z dobrą radą każdemu, czy o nią prosi, czy nie, radzę carowi, niechaj pójdzie za przykładem swego „jedyne go przyjaciela“ Nykity Czarnogórskiego i będzie właśnie tym, o którego pytamy: „Na kogo kolej“?...

Być może, że w tym wypadku różni się co do zapatrywania od tych panów, którzy robią w tak zwanej wielkiej polityce i pisują nawet wstępne artykuły, ale to już nie moja wina, gdyż i ja mam swoje własne orientacje i różne platformy, z których się zapatruję na sytuację.

Zresztą, co zrobił Mikołaj z południa, może także zrobić i Mikołaj z północy, a jestem pewny, że jeden i drugi źle na tem nie wyjdzie, co zaś najważniejsze, skończy się wówczas wojna, bo z Anglikami i Francuzami damy sobie już radę.

Wówczas i kronikarz, który obecnie czeka na „musterunek“, odetchnie i kroniki dalsze pisywać będzie przy biurku redakcyjnym, a nie w rowie strzeleckim. co daj Panie Boże!...

To jest wstęp polityczny, a tak się nim zmaczałem, że chwilę muszę odpocząć, by nabrać nowych sił, zwłaszcza, że panowie drukarze, których

szeregi bardzo się przerzedziły, wciąż mi następują na pięty i wołają o skrypt. Wystarczy powiedzieć, że gdy poprzednia kronika stękała jeszcze, gnieciona walcem maszyny drukarskiej, poseł z zecerni stanął przedemną i rzekł żalonym głosem:

— Pan metrapaź prosi bodaj o początek następnej kroniki!

— Bodajś w konia wlaź! — pomyślałem sobie i pokazałem mu kałamarz, mówiąc — Patrz, tam jest jeszcze kronika!

Ale ten migdalek drukarniany nie pozwolił się zbyle lada czem.

— Proszę bodaj kawałeczek! — powiada z energią.

— Na razie mogę ci służyć tytułem — ja mu znów na to.

— To ja poczekam!

— A czekaj sobie, jeśli nie masz nic lepszego do roboty. Ja teraz zajęty jestem pisanem listów...

— Pewnie miłosnych! — wyrwało mu się tak od niechcenia, bo chłopakowi sieją się już wąsy pod nosem więc czuje „wole Bożą“ — Mógłbym panu redaktorowi pomódz!

— Ja i listy miłosne! W moim wieku! Ja będę pisał listy miłosne do mej Weronisi z rowu strzeleckiego lub gdzieś z pod mostu, gdyż już i na nas najstarszych przychodzi kolej...

— E... W rowie strzeleckim pan redaktor się nie zmieści! Zresztą słyszałem i czytałem, że to najstarsze pospolite ruszenie nie pójdzie wcale na front, ale użyte będzie tu, w kraju...

— Wszystko mi jedno, mój drogi, karabin, czy miotła! I jednym i drugim równie dzielnie władać potrafię!

Spojrzał na mnie i jakoś się złośliwie uśmiechnął pod nosem, bo ja w samej rzeczy nie wyglądam na rycerza. Jeździłem wprawdzie w młodości konno, ale tylko na karuzeli. W każdym razie dał mi spokój i poszedł z kwitkiem, obiecując, że za kwadrans powróci i zabierze, co jest.

— Pewnie! Wracaj sobie! Ale przynieś worek, bo inaczej nie uniesiesz, tyle tymczasem narobię, zwłaszcza, że czuję się dziś bardzo nastrojowo usposobionym...

Wracam jednak do tych listów, o których wyżej wspominałem. Polecono mi je napisać, kiedy to jednak nastąpi, nie wiem, gdyż już od dłuższego czasu cierpię na nieprzewidywany piórowstręt, a od atramentu uciekam, niczem dyabeł od wody święconej.

W pierwszym więc rzędzie miałem odpisać bardzo grzecznie pewnemu panu z prowincji, który nadesłał nam wcale niegrzeczny list, zagniewany, że dotąd nie dostał kalendarza *Nowości Ilustrowanych*, choć koronę już posłał. Myślałem, czy nie posłać mu w prezencie n. p. egzemplarz podręcznika do pisania grzecznych listów, dałem jednak spokój, westchnąłem tylko na jego intencję gorąco: „Przebac mu Panie, albowiem nie wie, co czyni!“

Gdyby bowiem pan ów wiedział, z jakimi trudnościami połączone jest dziś wydanie kalendarza tego rodzaju, pewnie uspokoiłby swój szlachetny umysł, a usta złożył do przyjemnego uśmiechu.

Ja mu jednak powiem, niech się dowie!

Otóż w pierwszym rzędzie trzeba czekać dłużej niż zwykle na papier z fabryki, bo chyba czytał, że obecnie, z powodu braku materiałów surowych i rąk do pracy, produkcja jest ograniczona, a ceny naturalnie odpowiednio podwyższone.

Pozatem w drukarni brak zecerów, powołano ich bowiem do wojska, a na ich miejsce wpłynął wprawdzie marybek, ale nie w tej liczbie, jaka jest potrzebna.

I to drugi powód opóźnienia.

Trzeci zaś i najważniejszy, to cenzura prewencyjna, a trzeba temu panu z prowincji wiedzieć, że, według ustawy, pisma drukowe, o ile nie są gazetami, mają na ośm dni przed pójściem na maszynę odsyłać być do prokuratury. Jeśli się rozważy, że kalendarz drukuje się arkuszami i arkuszami posyła do ocenzurowania, łatwo się zrozumie, że i ta okoliczność wpłynąć musi na pewne opóźnienie.

Te trzy poruszone przezemnie momenty niech wystarczą owemu popędliwemu panu z prowincji. Na kartkę jego nie odpowiedziałem wprawdzie osobno, dwa razy przecie, czy nawet trzy, ogłosiłmy *urbi et orbi*, że z powodu różnych trudności wydanie kalendarza musi się nieco odwlec, wszyscy przecie ci, którzy przedpłatę nadesłali, pierwsi go otrzymają, skoro tylko ujrzy światło dzienne, (a może i nocne, nie jest bowiem wykluczone, że druk ukończy się właśnie nocną porą!...).

W każdym razie nie „w czternaście dni od daty owego listu“ (termin, do którego miała sięgać cierpliwość owego pana), ale wcześniej, bo już zdaje mi się we środę lub czwartek, kalendarz *Nowości*

*Ilustrowanych* będzie w ruchu i w miarę, jak intro-ligator go dostarczy, rozesłany będzie po wszystkich częściach świata. Chyba, gdyby zaszło coś nadzwyczajnego, n. p. koniec świata (nie jest jednak dotąd zapowiedziany!) lub trzęsienie ziemi w środkowej Europie, które zamieniłoby Wielki Kraków w wielką kupę gruzów, mogłoby nastąpić opóźnienie, ale za nie Redakcja ani Administracja nie mogłaby już przyjąć na siebie odpowiedzialności.

Sądję, że tych kilka słów wytłumaczenia wystarczą owemu panu, że się nie będzie na nas gniewał, ale cierpliwie poczeka jeszcze dni kilka, a jestem pewny, że będzie zupełnie zadowolony, zwłaszcza, że jako przedpłaćciel otrzymuje kalendarz daleko taniej niż ci, którzy się zdecydowali kupić go dopiero później.

Zwracam nadto uwagę, że kalendarz ów nie jest takim, jak inne tego rodzaju wydawnictwa, to jest nie zawiera przepisów pocztowych, zwykle niezrozumiałych, fałszywego rozkładu pociągów, spisu szczęśliwych kamieniczników, podręcznika dla zakochanych i tym podobnych bzdurstw, ale jest prawdziwie pamiątkową publikacją, będącą wiernym odbiciem tych wydarzeń, które nam się przeżyć udało. Rok 1916. minie, a on nie straci swej wartości i w niejednym z pewnością domu przechowywany będzie długie jeszcze lata.

Na zakończenie zaś dodam, że do wydawnictwa właściwie dokładamy, w trakcie bowiem druku wszystko podróżowało prawie podwójnie! Kto jednak pieniądze nadesłał wcześniej, ten wygrał...

Drugi list przeznaczony był dla pewnej pani, która pogniewała się na seryo na jednego z młych kolegów redakcyjnych, iż, podając w *Nowościach Ilustrowanych* fotograficzną odbitkę, na której zamieszczony był jej konfekt (zresztą wcale udatny) nie zaopatrzył jej postaci krzyżykiem, a w podpisie pod ilustracją nie uwidocznili jej nazwiska.

Niestety, tego rodzaju żądania nie mogą być zawsze uwzględniane. Zdarzyło się raz na przykład, że pewna babina, którą w ten sposób „ukrzyżowaliśmy“, zrobiła nam egipską awanturę.

— Co wy sobie myślicie! — wołała z pasją — Co ten krzyżyk czarny na mem łonie ma znaczyć? Ja umierać nie myślę! Proszę o sprostowanie w najbliższym numerze, bo w przeciwnym razie was skarzę i pójdziecie do kryminału!...

Zresztą, gdybyśmy tak chcieli zadowolić każdego i każdą i dajmy na to pod fotografią, na której odbito tysiąc osób, umieścili z odpowiednimi numerami i ich nazwiska, znów byłoby dość narzekania, że niema co czytać.

— Bo i cóż mnie tam może obchodzić, jak się nazywa ten lub owa, którzy się lubią fotografować? — powiedziałby ktoś słusznie — Spojrzę na fotografię to poznam, a jeśli nie znam, to i tak nie straciłem, jeśli się nie dowiem, jak się ten ktoś nazywał!

Uważam więc, że pani owa, gniewając się na mego kolegę, racyi wcale nie miała i w tym sensie polecono mi do niej napisać.

Ja jednak jestem tego zdania, że bez listu się obejdzie, wspomnę o tem w kronice, przeczyta więc więcej osób, między niemi i interesowana.

Ba... ale pokazało się, że miejsca już brakuje, kronika się już kończy, choć właściwie jeszcze się nie zaczęła a chłopiec z drukarni stoi, przestępując z nogi na nogę, w ferworze bowiem zapomniałem poprosić go, by usiadł... Ale trudno. Co się stało, już się nie odstanie. Szanowni Czytelnicy wybaczają mi, bo kronikarz to najniešťęśliwsze stworzenie pod słońcem.

**Kto chce mieć dobry zegarek** do pola lub do domu, niech zwróci się do znanej fabryki zegarków Max Böhm, Wiedeń IV, Margaretenstrasse 27/62. Każdy Czytelnik naszego pisma otrzyma od powyższej fabryki na żądanie wielki główny katalog z 3000 odbitek wszelkiego rodzaju zegarków i złotych towarów darmo i oplacony.

